



Tradycyjna kukielka z Podegrodzia koło Starego Sącza, fot. z archiwum Gminnego Ośrodka Kultury w Podegrodziu

KAROLINA GRODZISKA

Baśnie głodne i łakome

Nie było wtedy jeszcze w naszej Bibliotece pokoju socjalnego z lodówką, elektrycznym czajnikiem, ekspresem do kawy i pojemnikiem na wodę źródlaną. Były za to – za zakrętem korytarza, naprzeciwko drzwi do toalety – kuchenka gazowa i jednokomorowy zlew. Obok na haczyku wisiała dość smętna ścierka, bo wtedy „na stanie” mieliśmy spory zasób ścierek i ręczników, co miesiąc noszonych do pralni. Z natury o niewesołych kolorach i wzorach, szybko traciły resztki urody...

Na kuchence stał potężny, pewnie czterolitrowy blaszany sagan, w którym gotowało się wodę na herbatę „plujkę” i kawę „zalewajkę”, przez niektórych zwaną „fusiatą”, ale i tak większość z nas przechowywała w biurkach małe grzałki i gotowało się tę wodę po prostu we własnej szklance na biurku. W przypadku inspekcji strażaków (terminy przewidywalne, dwa razy na rok!), rzadszych kontroli ze strony służ BHP, Inspekcji Pracy lub nieprzewidywalnych wizyt niezbyt nam życzliwych „pań z kancelarii”, siedł po Bibliotece nagły hyr, a grzałki i szklanki błyskawicznie znikwały w przepelnionych szufladach naszych biurek. Dziś myślę, że musiał nad nami czuwać jakiś święty patron od książek i bibliotek, skoro do żadnego pożaru nie doszło.

Śniadania bądź drugie śniadania też jadało się na biurkach. Ich blaty pokrywał brystol, przypięty pinezkami, pełniący funkcję zarówno obrusa, jak notesu i szkicownika. Konieczność jego zmiany bywała bolesna, bo oprócz dziesiątków odcisków szklanek i prób wiecznego pióra po napełnieniu atramentem, widniały na nim notatki bibliograficzne, numery telefonów, listy spraw do załatwienia, adresy. To na nim rozwijało się z szeleszczącego papieru śniadaniowego przyniesioną z domu kanapkę lub kupione po drodze w cukierni Woźniaka drożdżówki czy pączki.

Byli jednak i tacy, którzy na brystolu rozkładali przyniesioną z domu serwetkę lub lnianą ściereczkę, a na nich talerzyk i filiżankę. Należała do nich pani Jania. Na tym jej talerzu królowały apetycznie bardzo kolorowe kanapeczki, jak na czasy siermiężnego PRL-u – wręcz wytworne. Więc cieniutkie kromeczki ze sztangla z solą lub pumpernika, plastry buncu lub oszczypka, plasterki suchej kiełbasy myśliwskiej, jakieś awanturki z bryndzy i sardynek lub szprotek, małosolny ogóreczek, pomidor, liść sałaty, do tego majonez lub węgierska pasta paprykowa... Mogły być ozdobą stołu na jakimś raucie lub przyjęciu, barwne i z fantazją, jakże odmienne od naszych bułek wodnych z białym lub żółtym serem. Kupienie tych wszystkich ingrediencji nie było niemożliwe, ale jednak trudne i czasochłonne, podobnie jak nadanie owym małym cudom ich wdzięcznej postaci.

Autorka i konsumentka owych kanapeczek zjadała je wyjątkowo powoli; dziś powiedziałyby się, że była zwolenniczką *slow food*. Zaparzała sobie też herbatę, która pachniała niczym nieosiągalny angielski Earl Grey, a była zwykłą gruzińską lub yunnanem z dodatkiem ususzonych listków doniczkowego geranium. Przy tym śniadaniu pani Jania czytała, jednak nie gazetę czy „Kobietę i Życie”, a któreś z katalogowanych przez siebie pism naukowych, najczęściej „Kwartalnik Historii Kultury Materialnej”, co w połączeniu z niechęcią do rozmów z niewiadomych powodów bardzo irytowało jej koleżanki.

Miłośniczka maleńkich tartinek była osobą tęgą, wręcz – zwalistą. Ewidentny skutek choroby, której w tamtym czasie i miejscu nie leczono. Bo też szczególnie dla niej był to zły czas i złe miejsce, a pani Jania, źle ubrana i niemodnie uczesana, dawała swoim zgrabniejszym, choć niekoniecznie miłszym koleżankom wiele powodów do żartów. Latami wypominano jej owo wygodne dzianinowe spodnie w bladorożowym kolorze (jakiś dar z amerykańskiej paczki), które zaskakująco upodobało ją do wielkiego niemowlaka. Ten strój przeszedł do bibliotecznego zasobu anegdot, gdyż ponoć sam dyrektor napomknął pani Jani, by jednak nie ubierała go do pracy. Cóż, według obecnej terminologii z pewnością była z racji wyglądu mobbingowana, ale też i ona łamała skromny *dress code* tamtych czasów.

Pamiętam jeden z popołudniowych dyżurów, rzadki przypadek, gdy nie zjawił się żaden czytelnik. Zostawiwszy w czytelnicy połowę światła, poszliśmy do działu opracowania na herbatę. Pani Jania wyłożyła na biurko swój podwieczorek, a mnie zdradziecko i głośno zaburczało w brzuchu. Odgłos był na szczery, że pani Jania roześmiała się i zaprosiła do udziału w uczie. A to była rzadkość.

– Tylko proszę mnie nie wydać, że panią częstuję – zapowiedziała. – Bo inaczej bym dla całego działu musiała robić śniadania, już mnie o to wielokrotnie podchodziły. A potem i tak by obgadały i obśmiały.

Miała z pewnością rację.

– Bo widzi pani – ciągnęła w rzadkim przyływie otwartości – najgorsze w upływie lat jest to, że w środku pozostajemy nadal młodzi. No, nie wszyscy – zreflektowała się. – Nie wszystkie. A ja nie rozumiem, co się ze mną stało. I kiedy. Wciąż

myślę, że jeszcze zatańczę tego walca, tak lekko, jak kiedyś. Że pójdę na łyżwy. Że powędruję w góry. W Tatry, w Gorce.

Teraz dopiero dostrzegam, jak pięknie błyszczą jej piwne oczy w tej rozlanej, bladej twarzy. Odsuwam złe skojarzenie; nasze koleżanki za plecami mówią o niej: Wolooka. No, że wygląda jak krowa. A pani Jania ciągnie dalej.

– Tyle było tych naszych wycieczek z mężem. Chodziłam z nim podczas praktyk na studiach i potem, przez lata. Wystarczył mały kocher, śpiwory i pałatka... Luksusowa była, jedwabna, wykrojona z niemieckiego spadochronu. A moje pionierki – ile lat mi służyły! A dziś bym nawet ich dobrze nie zasznurowała... I żadne czółenka nie poniosą mnie do walca...

Tak, mogę ją sobie wyobrazić. Wysoka, trochę zbyt mocno zbudowana szatynka o pięknych piwnych oczach. Dziewczyzna w kraciastej flanelowej koszuli, spodniach i pionierkach. Jej mąż – widywałam jego zdjęcia, wybitny etnograf, dużo od niej starszy. Jeszcze przed wojną był na wielu ekspedycjach, na Bałkanie, w Siedmiogrodzie, ba, nawet w Chinach. W ostatnich latach życia ciężko chorował, a pani Jania troskliwie się nim opiekowała. Ich syn, jednak, przy pierwszej okazji czmychnął na Zachód. Podobno jakoś matce pomaga, ale nigdy jej do siebie nie zaprasza...

Zamyśliłam się, tracąc wątek. A pani Jania ciągnęła opowieść.

– ...tak niewiele radości. Żadnych wyjazdów, sama nie pojadę, bo będzie to, co tutaj. Drwiny i niby współczujące komentarze, że jak to można się tak zapuścić. Zautuczyć. Przecież nie będę każdej mówić, że to choroba. Że nie ma u nas tych leków, a nie stać mnie na zakup za dolary. A sanatoria, jeżdżę co roku, niewiele to daje.

Czas odwrócić bieg jej myśli ku pogodniejszemu tematowi. Pytam więc:

– Ale pracuje pani nad czymś, pani Janiu? Bo zawsze sporo pani pisała.

– A pracuję, owszem. Kończę w instytucie edycję prac męża. Jeszcze i bibliografię robię etnograficzną do „Kwartalnika”. Ale mam temat, który mnie strasznie ciągnie, a nic z tego nie będzie – urywa, zgarniając zgrabnie ostatnią kanapeczkę z talerza, której mnie nie wypadało oczywiście wziąć...

– Dlaczego nic nie będzie?

– Bo widzi pani, pani Karusiu, mnie zawsze interesowały baśnie. Pracę magisterską pisałam o bajkach ludowych. Niezwykle, krążące z ust do ust, długo niespisywane, przechodzące z pokolenia na pokolenie. Owszem, zmieniano je, ale w niewielkim stopniu. A opowiadali je ludzie niepiśmienni, nieuczeni, często – starzy. Jakaś słabowita babka, siedząca na zapiecku, jakiś dożywający swoich dni dziadek, jakaś matka, kołysząca najmłodsze z kilkorga dzieci. Może przy ogniu, ale pewnie częściej w chłodzie. Nieraz głodni, a w najlepszym razie ledwo zaspokoiwszy ten głód. A uwagę dzieci trzeba było od tego głodu i chłodu odwrócić. Ten głód to czasem aż bije z tych baśni.

– Głód w literaturze? – podejmuję, trochę nie na temat. – Ci wielcy realiści? Hamsun? Zola? No, nasz Reymont?

– Nie, przeciwnie – uśmiecha się pani Jania. – Raczej chodziło mi o sytość. Radość jedzenia. To jest i u Kochanowskiego, a ile u Reja! Albo Morsztyna czy

Potockiego. Jeszcze biskup Krasicki! To wierszem, a prozą? Ileż się jada u Sienkiewicza czy Prusa.

Tak, natychmiast przypominam sobie tę jajecznicę z pół kopy jaj, którą pokrzepia się Maćko z Bogdańca, a i półgęski zjadane przez Kmicica. A jeszcze te wszystkie wypijane na popasach (piękne to słowo!) butelki, bukłaki czy beczułki węgrzyna... Tak, szczupły i z wyglądu mizerny Henryk Sienkiewicz doskonale opisywał te uroki życia.

– Ale ja nie o literaturze wysokiej – zastrzega się pani Jania. – Mnie tylko o baśni chodzi. O, proszę tego posłuchać, niedawno na tę książkę natrafiłam i proszę, ile w tym prawdy jest.

Otwiera szufladę i wyciąga niewielki notes – preparatkę. Czyta:

Takie były bardzo biedne, że nie co dzień jadły do syta. O mięsie to ino słyszały, że smaczne, jak nie wiem co; mleko... no, mleko piły czasem, na ten przykład, jak się Kasprowa wynajęła do sadzenia grochu albo do plewienia, albo do żniwa, to mleka pod wieczór przyniosła do chałupy w sporym garnuszku i sera kawał, a już jak poszła na robotę do Wontorów – bogatych, to nawet szperki kawałek nieraz przyniosła. W insze znów dni – różnie bywało: chleb suchy, pęczak jałowy, pokrzywa drobno usiekana i zagotowana na wodzie z solą, ot całe jedzenie^[1].

Przerywa czytanie.

– Bajka? Zwykła bajka dla dzieci, drukowana w XIX wieku. Bajka z gorzką prawdą. Pęczak jałowy, chleb suchy, zupa z pokrzywy lub lebiody. A gdzie indziej, w zakończeniach bajek, zawsze ucztą u króla, weselisko, stopy jedzenia. I ja tam byłem, miód i wino piłem – ulubione zakończenia! – śmieje się. – Proszę posłuchać:

I ja tam byłam także, jadłam przysmaki, a jakże: figi z mlekiem, marcepany, ananasy i banany, torty, sorbety, lody, w cukrze smażone jagody. Co raz sałę przetańczyłam, to kielich wina wypiałam. A że płasałam noc całą, więc się w głowie zawracało^[2].

– A to moje ulubione zakończenie, takie dosłowne – pani Jania przewraca kartki preparatki, oczy jej błyszczą z uciechy. O, proszę:

Huczne gody sprawili, tysiąc gości sprosili, jedli, pili bez miary, tańczył młody i stary. Jedli goście przysmaki, morskie ryby i raki; gęsi, kaczki tuczony i prosięta pieczone, i przeróżne słodkości jedli aż do nudności^[3].

[1] A. Domańska, *Król węzów*, w: *Przy kominku*, Warszawa 1958, s. 205.

[2] *Taż*, *Dziwni przyjaciele*, w: *Przy kominku*, dz. cyt., s. 204.

[3] *Taż*, *Głupi Maciuś i królowna*, w: *Przy kominku*, dz. cyt., s. 91.

Zamyka notes i chowa go do szuflady biurka, do pudełka po czekoladkach „Goplana”. Widzę, że pudełko pełne jest takich samych preparatek i fiszek, zapisanych jej drobnym, starannym pismem. Na niektórych karteczkach podkreślenia czerwoną i fioletową kredką. Bogactwo wątków i cytatów, materiał już nie na artykuł, a pewnie na dużą książkę, w dodatku – bardzo smakowitą. Pozwalam sobie na pytanie:

– Czemu pani tego nie dokończy, pani Janiu?

I to było o jedno pytanie za dużo, bo pani Jania zamyka się w sobie, przybiera swój zwykły obojętny wyraz twarzy. Niezgrabnie podnosi się z krzesła, zbiera talerzyk i swoją szklankę do umycia. Jest już w drzwiach, gdy jednak decyduje się na odpowiedź.

– Ja? Pisać o ucztach z baśni? O głodzie i o najadaniu się? O krajach mlekiem i miodem płynących? Przecież one by mnie tu wszystkie zadziobały, życia bym w tej pracy nie miała. Lepiej niech będzie jak już jest.

* * *

Nie wiem, co stało się z fiszkami pani Jani. Zabrała je z biurka, odchodząc na emeryturę, ale choroba nie dała jej już wielu lat życia. Nigdy nie zauważyłam podobnej publikacji, ale też nie szukałam zbyt dokładnie. Może gdzieś leżą, może syn, likwidując jej mieszkanie, ich nie wyrzucił?

Może ktoś kiedyś jednak napisze tę smakowitą książkę pani Jani?

Pierwodruk opowiadania ukazał się pod tytułem *I przeróżne słodkości jedli aż do nudności* w książce Karoliny Grodziskiej *Sny czarno-białe i inne opowiadania*, Wydawnictwo Austeria, Kraków–Budapeszt–Syrakuzy 2022, s. 213–221.